

Z podróży do ZSRR

„Jo se chłopok od Rzeszowa“... rozbrzmiewa nad Niemnem i Wilią

Wilno

W Radzieckiej Republice Litewskiej jestem już szósty dzień. Za dwa dni opuścę gościnny Kraj Rad, przyjaciół i znajomych. Wczoraj, w Pałacu Związków Zawodowych w Wilnie, mam się spotkać z członkami Polskiego Ludowego Zespołu Pieśni i Tańca „Wilia”. Umówiłem się na godzinę 17.00 za pośrednictwem sympatycznego dziennikarza z „Czerwonego Sztandaru”, wydawanego w języku polskim — Stanisława Jakutisa, również członka zespołu.

Ponieważ mam jeszcze dużo wolnego czasu, wracam do hotelu, aby porobić sobie notatki z odbytych wyjazdów po Litwie. Z Kłajpedy, Kowna, Palangi, z czarującego Półwyspu Neryngi, słynącego z bursztynu, z którego litewscy plastycy i mistrzowie ludowi tworzą przepiękne upominki i ozdoby. Litewskie bursztynowe cacka (nawiasem mówiąc bardzo tu tanie) zdobyły sobie uznanie nie tylko w Kraju Rad. Zachwycają się nimi: Bruksela i Nowy Jork, Paryż i Rzym, Lipsk i Rio de Janeiro... Pocięte jak kawałek bursztynu, jest całe 99-kilometrowe wybrzeże morskie Litwy, pokryte piaszczystymi wydymami, które tworzą tzw. „Saharę Bałtycką”, o niepowtarzalnym uroku, nawet teraz, w zimie.

Byłem również w kilku litewskich uzdrowiskach, czynnych przez cały rok oraz w kościołach i sowchozach, wiejskich domach kultury i bibliotekach.

Więc tak sobie notuję i notuję, aby niczego nie uronić z co ciekawszych rozmów, spotkań, nie zapomnieć nazwisk interesujących ludzi, kiedy nagle brzęczy telefon. Podnoszę słuchawkę.

Dzwoni znajomy kolega z litewskiej „Tiesy”, który świetnie gra w bridge'a, zna kupę dowcipnych kawałów i doskonale włada pięcioma językami, w tym również polskim.

— Chcesz zobaczyć coś oryginalnego?

— Też pytanie — mówię i proszę go, żeby mi wyjaśnił co takiego ukrywa przede mną.

— Na razie bliższych szczegółów nie podaje, bo sam ich nie znam. Dali mi znać, że za piętnaście minut w pierwszym radzieckim szpitalu włączą sztuczną nerkę, którą szpital otrzymał przed niespełna rokiem. Jakiś ciężki, a równocześnie nietypowy przypadek. Nieprzytomnego pacjenta przywiozła sanitarka lotnicza. W tej chwili trwają przygotowania do zabiegu. Powiedziałem, że przyjdę z tobą.

Spoglądam na zegarek. Do spotkania z zespołem pozostały jeszcze trzy godziny.

— Dobra jest — mówię. — Zaczynam wychodzić.

Kolega przyjechał taksówką. Po pięciu minutach jesteśmy na miejscu. Dostajemy białe kitle, usta i nos okrywamy szczerbnie gazą nasyoną jakimś roztworem i wchodzimy na salę zabiegową oddziału urologii. Witamy się z lekarzami, przedstawiamy mi kierowniczkę oddziału, panią Stanisławę Miciulitę oraz ordynatora Polaka z pochodzenia, pana Genadiusza Chaleckiego.

Pacjent leży na stole. Dzięki zastrzykom i zastosowaniu sztucznego oddychania odzyskał już przytomność. Jest to młody, 25-letni mężczyzna. Przypadek rzeczywiście bardzo ciężki. Ostatnia deska ratunku — to sztuczna nerkę.

Dr Chalecki informuje mnie o przyczynach choroby. Po prostu skutki lekkomyślności i młodzieńczej fantazji połączonej z brawurą. Pacjent w dniu wczorajszym

bawił się na weselu. Popił tego. Po odejściu od stołu weselnego poszedł do kuchni, gdzie zauważył stojącą na kredensie półlitrową butelkę napełnioną do połowy przezroczystym płynem. Wziął ją za wódkę. Bez sprawdzenia przyłożył szyjkę do ust, przechylił, wysuszając butelkę do dna. I w tym momencie zemdał. W izbie powstało zamieszanie. Nikt jednak nie wiedział, o co chodzi. Wszyscy przypuszczali, że zemdał, bo za

EDWARD
WISZ

dużo wypił. Nikt nie zauważył pustej butelki, która potoczyła się pod stół.

Mężczyznę odtransportowano saniami do domu i dopiero po 12 godzinach, kiedy chory w dalszym ciągu nie odzyskiwał przytomności, zdecydowano się zawołać lekarza. W międzyczasie ktoś zauważył butelkę, ktoś drugi uzmysłowił sobie, że widział jak mężczyzna z niej pił i zaraz dano znać do domu chorego. Lekarz już był wówczas na tropie przyczyny tego niespodziewanego zamroczenia. Wiadomość okazała się o tyle cenna, że potwierdziła jego przypuszczenia. Oto pacjent przez pomysłkę wypił sześcioprocentowy ocet. Ponieważ nastąpiło zatrucie organizmu, należało natychmiast oczyścić krew ze szkodliwych substancji. Mogła to uczynić tylko sztuczna nerkę.

Wszystko już jest przygotowane do zabiegu. Krew chorego trzeba przetoczyć przez sztuczną nerkę, w której oczyści się z trujących składników. Pacjent ciężko oddycha. Co jakiś czas pielęgniarka zwilża mu spieczoną wargi tamponem.

Jeden z lekarzy włącza sztuczną nerkę. Sięsz tylko cichy szum aparatu i bulgotanie krwi w przetoczonych pojemnikach. Ktoś objaśnia mi działanie aparatury. Probuje zapamiętać, później notować,

ale szybko kapituluję i wkładam notes do kieszeni. Za dużo fachowych wyrażań i określeń.

Przed wyjazdem do Polski, zadzwoniłem do szpitala pytając o zdrowie chorego. Lekarz dyżurny odpowiedział mi krótko: „Pacjent czuje się dobrze. Za kilka dni opuści szpital”.

Jestem punktualny. W Pałacu Związków Zawodowych czekają już na mnie członkowie „Wili”. Pytają o wrażenia, pytają o kraj. Wreszcie przechodzimy do tematu dotyczącego sytuacji Polaków w Związku Radzieckim.

W Republice Litewskiej jest ich około 300 tysięcy i korzystają — podobnie jak inne grupy narodowościowe — z pełnej możliwości rozwoju kulturalnego, oświaty w języku narodowym itp.

Na Litwie istnieje ponad 300 polskich szkół. Przy Wileńskim Instytucie Pedagogicznym zorganizowano Wydział Polonistyk, który kształci kadry nauczycieli dla szkół średnich i podstawowych. Obecnie studiuje na wydziale około 120 studentów, a ponad 150 uczy się zaocznie. Wykładowcy rekrutują się przeważnie z absolwentów wydziałów filologii polskiej uniwersytetów — moskiewskiego i leningradzkiego. Instytut otrzymał ostatnio prawo otwierania przewodów kandydackich. Pracownicy naukowcy wyjeżdżają często na konsultacje do Warszawy, są również w stałych kontaktach z Uniwersytetem Wrocławskim.

Na Litwie wychodzi też dziennik w języku polskim, organ KC KP Litwy — „Czerwony Sztandar” oraz kilka polskich gazet rejonowych. Codziennie rozgłosza republikańska nadaje półgodzinną audycję w języku polskim.

Polską kulturę i folklor w poważnym stopniu podtrzymuje „Wilia”. Pani Zofia Gulewicz, była artystka Opery Warszawskiej, opowiada, kiedy i w jakich okolicznościach doszło do zorganizowania zespołu.

Jego inicjatorami byli studenci oraz polscy naukowcy z Instytutu i Uniwersytetu Wileńskiego.

(Ciąg dalszy na str. 3)



Kobietom — w dniu ich święta.

Fot. Z. POSTĘPSKI

KOŁO STUDENTÓW ZIEMI RZESZOWSKIEJ powstało w Lublinie

Wzorem Krakowa w listopadzie ubiegłego roku powstało w Lublinie Międzyuczelniane Koło Studentów Ziemi Rzeszowskiej. Skupia ono około 600 studentów uczelni lubelskich pochodzących z terenu województwa rzeszowskiego. Koło przejawiające ożywioną działalność istnieje przy Radzie Okręgowej ZSP.

Program działania Koła obejmuje:

- popularyzację osiągnięć, rozwoju i piękna ziemi rzeszowskiej wśród studentów wyższych uczelni lubelskich;
- występowanie z wnioskami o stypendia fundowane, a zarazem informowanie absolwentów uczelni lubelskich o wolnych miejscach pracy i zapotrzebowaniu zakładów i instytucji województwa rzeszowskiego na kadre z wyższym wykształceniem;
- zachęcanie do podejmowania w pracach dyplomowych i magisterskich tematyki dotyczącej Rzeszowszczyzny;
- organizowanie obozów naukowo-badawczych i wypożyczek na terenie naszego województwa;
- nawiązywanie bliższych kontaktów studentów rzeszowskich kształcących się w Lublinie z macierzystym regionem oraz zachęcanie absolwentów lubelskich uczelni do podejmowania pracy w naszym województwie;
- nawiązywanie kontaktu z młodzieżą szkół średnich Rzeszowszczyzny i prowadzenie wśród niej akcji informacyjnej o studiach wyższych.

W marcu przewidziane jest otwarcie wystawy fotografii Zdzisława Postępskiego, obrazującej piękno województwa rzeszowskiego w fotografii. Zarząd koła zaprosił Zespół Pieśni i Tańca WDK w Rzeszowie i Zespół Zakładowego Domu Kultury w Mielcu na gościnne występy dla studentów środowiska lubelskiego.

Inicjatywa studentów rzeszowskich w Lublinie jest niewątpliwie piękna i cenna. Apelujemy więc o podjęcie jej i poparcie przez instytucje i zakłady naszego województwa.



Polski Ludowy Zespół Pieśni i Tańca „Wilia” — suita góralska.

Nowe strzały...



Anna Świrszczyńska — „Strzały na ulicy Długiej”.
Od lewej: Alina Zydroń (Helcia), Józef Jachowicz (Frenek), Franciszek Buratowski (Barczak), Lidia Maksymowicz (Lola).

Fot. ZBIGNIEW ŁAGOCKI

CZESŁAW KŁAK

wojny, a wszelkie próby rozrachunku z czasami pogardy budziły zainteresowanie, prowokowały dyskusję. Dramaturgia nie mogła sprostać zapotrzebowaniu teatrów. Na scenach prawie niepodzielnie panowała klasyka. Spośród kilku sztuk osnutych na tle wojny i okupacji „Dom pod Oświęcimiem” Tadeusza Hołuj i „Strzały na ulicy Długiej” Anny Świrszczyńskiej przedstawiały najwyższą rangę. W roku 1948 Teatr Polski w Warszawie wystawił „Odwety” Leona Kruczkowskiego, a dopiero w dwa lata później publiczność Teatru Starego w Krakowie oglądała prawykonanie „Niemców”. Zatem „Strzały” były odpowiedzią na konkretne zamówienie społeczne.

W 20 rocznicę powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie wystawił okupacyjną sztukę Anny Świrszczyńskiej, uznając ją tym samym za pozycję, która zwycięsko oparła się naporowi czasu.

Czy rzeczywiście tak jest? Czy „Strzały na ulicy Długiej” w ciągu siedemnastu lat dzielących je od momentu napisania nie uległy korozji? Pewną nieadekwatność sztuki dostrzegła sama autorka i przeprowadziła jej korektę. Główny zrab pozostał jednak bez zmian.

W dramacie występują ludzie z różnych środowisk społecznych. Zetknął ich wspólny okupacyjny los. Postacią tragiczną jest barmanka Lola. Utrzymuje ona kontakty z mężczyznami o wypchanych portfelach, by za ich pieniądze wydobyć męża z obozu. Jej moralne poniżenie okazuje się jednak bezsensowną ofiarą, a bohaterstwo u szczytu rehabilitacji nie ma romantycznego rodowodu. Sąsiad Loli — Profesor — z narażeniem życia przechowuje cenne pamiątki narodowe, wyznaczając im rolę państwowotwórczą. Zamachowiec Józef jest przedstawicielem rewolucyjnego podziemia. Najwyżej ceni ludzkie życie. Nie nawidzi zabijania, ale zabija i naraża na śmierć innych, bo taką logikę narzucili wrogowie. Walczy o nowe państwo, które według niego może się obejść bez historycznych pamiątek — starych królewskich pieczęci, chronionych przez Profesora. Józef i Profesor — obaj w służbie idei, ale obaj odlegli od siebie, prowadzą spór już niesprawdzałny obecnie. Józef wyznawcą czynu nie podziela kultu dla spuścizny przeszłości. Takim ludziom przeciwstawiony jest Barczak, człowiek o brudnych rękach, kanalia ciągnąca zyski z wojny. Postaciami epizodycznymi są: Helcia, pusta i naiwna utrzymanka przygodnych mężczyzn oraz Frenek — handlarz narkotykami.

Wszystkie te postacie, ich dramaty i uwikłania są prawdziwe. Autorka sztuki nie zafalszowała obrazu rzeczywistości. Widzowie starszego pokolenia mogą przytoczyć dziesiątki podobnych przykładów. Tak było. Młodzi, korzystający od dawna ze zdobyczy rewolucji nie odczytują jednak niuansów sporu prowadzonego przez Józefa i Profesora.

Reżyser rzeszowski przedstawił — Ireneusz Erwan zastosował technikę jaskrawego efektu. Napisał do ostateczności struny dramatu usiłując wydobyć z niego maksymalnie dużo: grozę sytuacji, taniość ludzkiego życia, reakcje psychologiczne bohaterów, spory ideologiczno-polityczne. Wydaje się, że pewna hierarchizacja problemów i świadomy wybór point podniosłyby rangę artystyczną przedstawienia.

Lidia Maksymowicz — odtworzyła postaci Loli grała ekspresyjnie. W niektórych momentach wzruszała szczerością. Niestety, nie potrafiła utrzymać się na jednakowo wysokim poziomie. Nie uniknęła bardzo niedobrej manieri: zewnętrzności i pokazywocci. Zagryzanie warg i rozrzuć gestu spięły i deformowały psychologiczną sylwetkę bohaterki.

Dobrze zaprezentowała się Alina Zydroń w roli Helci. Swoboda, z jaką poruszała się na scenie, szczerość i naturalność pozwalała przypuszczać, że artystka szybko zjedna sobie publiczność rzeszowską.

Postać Józefa kreował Tadeusz Czarnowski. Był skupiony i opano-

wany. Dbał o prostotę środków artystycznego wyrazu, unikał niepotrzebnych, patetycznych gestów. Podnosił temperaturę spektaklu przez wewnętrzne, a nie gwałtowne, a nawet brutalne odrzucanie racji kolidujących z jego doświadczeniem rewolucyjnym. Mimo to nie przestał być postacią liryczną.

W pozostałych rolach wystąpili oryginalni w sylwestre Ireneusz Erwan (Profesor), dostatecznie zniechęcający do siebie spokojnym, wyważonym łajdactwem Franciszek Buratowski (Barczak) i Józef Jachowicz (Frenek).

Spektakl otrzymał udaną oprawę plastyczną projektu Wandy Fik. Bardzo zwarta i bardzo celowa zabudowa sceny wyprowadzona została z prostoty rysunków architektonicznych — przekroju i elewacji. Wnętrze, w którym rozgrywa się dramat ograniczone zostało płaszczyzną, przepartą wieloma otworami okiennymi, symbolizującą sąsiedni budynek. Bliskość tych okien to bliskość niebezpieczeństwa. W ten sposób scenograf podkreśla jednostkowy charakter dramatu i środkami plastycznymi, światłem aranżuje jego nastrój, nastrój grozy spotęgowany dramatyczną podbudową muzyczną Janusza Ambrosia.

Anna Świrszczyńska — „Strzały na ulicy Długiej”. Sztuka w trzech aktach. Reżyseria: Ireneusz Erwan. Scenografia: Wanda Fik. Opracowanie muzyczne: Janusz Ambros. Udział biorą: Lidia Maksymowicz, Alina Zydroń, Ireneusz Erwan, Tadeusz Czarnowski, Franciszek Buratowski i Józef Jachowicz.



Od lewej: Ireneusz Erwan (Profesor), Lidia Maksymowicz (Lola), Tadeusz Czarnowski (Józef).
Fot. ZBIGNIEW ŁAGOCKI

STRZAŁY na ulicy Długiej powstały w 1947 roku. Powstały w dwa lata po kapitulacji hitlerowskich, gdy literatura polska zafascynowana tematem wojenno-okupacyjnym drążyła problemy polityczne i moralne, które w społecznym doświadczeniu pojawiły się po raz pierwszy. W bolesnym rozrachunku z niedawną przeszłością nie zabrakło również głosu Anny Świrszczyńskiej.

„Materiału do sztuki — wyznaje autorka — dostarczyło mi po prostu życie. W czasie wojny chwyciłam się różnych zawodów, stykałam się z przeróżnymi ludźmi. Byłam robotnicą fabryczną, roznośliłam po sklepach bułki, sprzedawałam po domach mydło itp. Byłam też kelnerką w barze. Przychodzili pijacy i konspiratorzy, szabrownicy i wykołajnicy. Pewnego dnia spotkałam tam kobietę, która stała się prototypem Loli. Podczas warszawskiego powstania pracowałam jako pielęgniarka w szpitalu przy ul. Pańskiej. Patrzyłam jak cierpieli i umierali w straszliwych warunkach, bez lekarstw, nawet bez zwykłej czystej wody do picia — żołnierze i cywile, przypadkowe ofiary wojny i ideowcy. Na sali, gdzie zgromadzono ciężko rannych z postrzałami w brzuch, poznałam młodego mężczyznę, który stał się potem prototypem Józefa”.

Dzięki temu sztuka odznacza się autentycznym kolorytem obyczajowym, a postacie o wykończonym na ogół rysunku psychologicznym są żywe. Świrszczyńskiej nie chodziło jednak o rejestrację zdarzeń i ukazanie niepowtarzalnego wycinka okupacyjnej rzeczywistości. Postawiła sobie wyższy cel: określenie pewnych postaw moralnych. Postacie dramatu reprezentują różne środowiska społeczne. Suma konfliktów i doznań jednostkowych daje obraz sytuacji moralnej i obalą romantyczną (w sensie historycznym) genezę bohaterstwa.

Krytyka literacka i teatralna przyjęła „Strzały na ulicy Długiej” niemal entuzjastycznie. W roku 1948 ukazało się kilka bardzo pochlebnych recenzji podkreślających wybitne walory artystyczne i warsztatowe dzieła Anny Świrszczyńskiej. Tadeusz Breza pisał: „Sztuka jest napisana z niewątpliwym nerwem. Skomponowana doskonale. Szczupłutki historię starczy Świrszczyńskiej na trzy akty, tak umie nią rozporządzać, tak ją wydozować. Zachwycia dialogiem. W bardzo świetny sposób naturalnym”. Zdaniem recenzenta w sztuce czuje się głęboko moralny ton. Inni krytycy podobnie oceniali „Strzały” nie szczędząc superlatywów.

To gorące, emocjonalne przyjęcie dramatu jest zrozumiałe. Przypominajmy: społeczeństwo polskie pozostawało ciągle pod wrażeniem

ją. Obudził mnie i zmuszał do działania. Opuchnięte kolano już nie krwawiło, ale cierpieć bardzo. Najgorsze dla rannych są dni od trzeciego do piątego. Organizm mobilizuje wówczas wszystkie siły, reaguje silną gorączką, tkanki ściągają się, puls wali jak młotem i najlepiej wówczas leżeć bez ruchu. Ja jednak leżeć nie mogłem. Czuję tak zresztą, jak mój koń, że trzeba jechać dalej. Nie można czekać i nie można zwlekać ani chwili. Z wysiłkiem osiodlałem konia i musiałem znów odpocząć. Nie starczyło sił. Zre widowane juki i plecak pokazały cały mój zapas, niemały zresztą i nie lekki. Oprócz siodła z jukami, dwóch koców, kożuska i zmiany bielizny mam broń i zaopatrzenie. W jukach wiozłem około siedemdziesięciu tysięcy marek. Z żywności — ćwiartka suchego chleba, kawałek sera twardego jak kamień i manierka zródlanej wody. Zapomniałbym o skromnych zapasach tytoniu, zapalkach, latarce z wyczerpaną baterią i starej zapalniczce. Dokumenty identyfikacyjne nosiłem w niewielkiej gumowej torbie, ściągniętej jedwabną linką spadochronową i zawieszanej na szyi. Ubiór zewnętrzny był w strzępach. Esesmańskie saperki prawie bez zębów. Skórzane spodnie rozzerwane na kolanie, zakrwawione, twarde, zeschnięte i skurczone. Kurtka mundurowa brudna i podarta. Kożuszek góralski w niezłym stanie, na głowie barankowa kubanka. Zarost nieogolony od tygodni, włosy — rzec można — „jak u poety”. Wybrałem sobie mój wygląd, który mógł najodważniejszego przerazić. Wychudłem drabisko wzrostu metr osiemdziesiąt, z wąsami aż po uszy i brodą do pasa, kulejące. Mam więc szansę w pojedynczym spotkaniu, z

bronią, że nie jest — brak mi tylko wazeliny i oliwy, a lufy już czerwienię. Gorzej z opatrunkami — nie mam już bandażi. Pozostała wątpliwej czystości koszula, która po wypraniu może być porwana na strzępy i użyta do opatrunku. Gorączkowo przeszukałem jeszcze raz plecak i znalazłem niewielki kawałek mydła. Zdecydowałem się wyruszyć. Przedtem jednak należało przygotować broń. A więc będę posługiwał się snajperką, bo w górach odległość duże i ta broń będzie najskuteczniejsza. Przeczyściłem lufę odrobina wazeliny wyjętej z komory zamkowej, sprawdziłem działanie części i naładowałem magazynkę amunicją przeciwpancerno-zapalającą. Do futerału po parabellum włożyłem nagan uwiązany na linie przymocowanej do szyi, z pasa głównego silkwidowałem zapasowe magazynki peemu, chowając je do juk. Zamiast nich przymocowałem dwa granaty obronne. Peem przytroczyłem u siodła nakryłem kocem, aby nie rdzewiał od wilgoci. Parabellum, względnie jeszcze czyste poszło do drugiej juki. Pozostawiłem sobie tylko lornetę i mapę. Byłem teraz lekki i mimo rany mogłem się poruszać. Plecak zawieszając przy zrolowanym kocu i wgramoliłem się na siodło. „Sirko” strzygąc uszami wyruszył z polany w kierunku łąki i szczytu. Wynikało z obliczeń i przypuszczeń rachunku, że jestem w okolicy Szerokiego Wierchu, a trasa pobiegnie do Ustrzyk Górnych. Aby ułatwić orientację, wytyczyłem sobie za pomocą mapy i kompasu szczyty, gdzie powinienem dotrzeć, a tam ustale dalsze punkty orientacyjne.

Lekko uderzyłem „Sirka” piętą i

ruszyliśmy stępą do Ustrzyk. Posuwaliśmy się wąskim szlakiem turystycznym. Drewniane kule wyrzuciłem, wychodząc z założenia, że będę się podpierał snajperskim karabinem. Wodzę puszczałem wolno, karabin oparłem na łeku i zawierzyłem instynktowi konia. „Sirko” pojął swoją rolę i przyspieszył kroku. Zabezpieczyłem broń i poddając się rytmowi biegu, zacząłem zasypiać w siodle. Ogarniała mnie znów gorączka łagodzona nieco chłodnym powietrzem wiatru. Tuż przed Ustrzykami Górnymi — bo rzeczywistość jechałem w tym kierunku — minęliśmy niewielki potok, a potem strumień Wotosaty. Napoleon konia i omijając tę miejscowość od północy, wjechałem na Poloninę Caryńską. Jest to jedna z najpiękniejszych i największych polonin w Polsce. Przy świetle gwiazd miałem ciągnąć się kilometrami wspaniałe łąki i widziałem obrzniętą dolinę z drogą, po której wycyfrowali się Niemcy. Bez przegód dotarłem pod Beręhy Górne i przeprawiłem się przez trzeci z kolei potok. Ścieżka prowadziła teraz w dół w niewielkiej odległości od szosy.

Ponieważ szlak był prosty, przeszedłem po nim kłusem i znów wjechałem na grzbiet, mijając jakieś domostwa. Wydołałem się na następnej, równie pięknej, a jeszcze bardziej rozległej Poloninie Wellińskiej. Musiałem zrobić dobre 12 kilometrów. Była godzina druga w nocy, ale mimo to postanowiłem jechać aż do wschodu słońca. Noc była jasna. Szlak prosty i równy. „Sirko” cwałował niezamordowanie, a mnie sen odszedł zupełnie. Nad ranem dotarliśmy pod Wellinę. Tu wschód słońca ukazał mi czarną polonę. Wprowadziłem konia do lasu, stru-

PERZY ŁYZWAŃSKI SPOTKANIE W BIESZCZADACH

Drukujemy dziś dalszy fragment przygotowanej do druku książki Jerzego Łyżwańskiego „Wierchami Karpat”, której dwa urywki opublikowaliśmy w ubiegłym miesiącu. Autor po pobycie w Kijowie, dokąd odleciał z uratowanymi przez partyzantów angielskimi lotnikami rzucony zostaje na spadochronie w rejon Bieszczadów, gdzie walczy w zgrupowaniu partyzanckim gen. Szukajewa. Podczas jednej z walk, ranny, traci kontakt z oddziałem i samotnie przebiega się do swoich.

Trapiły mnie jakieś koszmarny sny. Co najdziwniejsze, były to sny kolorowe. Wśród obrazów dominowała czarna tarcza kompasu z cyframi i strzałką, jarzącymi się zielonkawym światłem. Strzałka pokazywała kierunek: północny zachód.

Jak głęboko musiała zapasć w moją świadomość decyzja marszu na północ, skoro nawet w gorączkowych snach się powtarzała. Majaczącym trawiony gorączką. Otwierałem oczy i widziałem tylko czerni splątanych nade mną gałęzi, przez które nawet niebo nie było widoczne. Oprzytomniałem w połowie dnia. Zbudził mnie szelest i kroki. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą zarys końskiego karku. „Sirko” stał nad moją kryjówką i obwąchiwał mi twarz. Zaniepokojony moją długą nieobecnością przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Dodało mi to sił i mimo gorączki podniosłem się i pogłaskałem konia po karku. „Sirko” był najedzony do nieprzyzwoitości. Znikły mu nierówności skóry, a brzuch miał napięty jak heben. Dobrze mieć przyjaciela w koniu, gdyż koń — moim zdaniem — przetrasta inteligencją wszystkie zwierzęta. Umie być czujny jak pies i wierny, a w razie niebezpieczeństwa walczy na równi z człowiekiem. Tym razem „Sirko” był moim jedynym ratunkiem i nadzie-

1) Kilkakrotnie miałem wypadki, że przy dającym wyczerpaniu fizycznym i psychicznym przedmiot i krajoznictwo ukazywały mi się we śnie w barwach naturalnych, a nie czarno-białych.

Stale rozwijający się podział pracy przynosi coraz to nowe zmiany. Człowiek oswaja zwierzęta i uczy się je hodować — pojawia się więc pasterstwo. Zamiast zbierać tylko nasiona czy owoce roślin, człowiek zaczyna je uprawiać — powoli rozwija się rolnictwo. Rozwój gospodarki rodzi również możliwości wymiany. To wszystko stwarza podstawę narodzin prywatnej własności. W trakcie jej powstawania, rozpoczyna się rozkład wspólnoty pierwotnej. Grupa ludzka stopniowo rozpada się na właścicieli środków produkcji i tych, którzy nie posiadają nic, albo niewiele, stają się zależni od właścicieli stad, ziemi, warsztatów wytwórczych. Zjawia się podział na klasy. Również człowiek staje się coraz częściej własnością innego człowieka — w ten sposób powstaje niewolnictwo.

Wreszcie powstają pierwsze państwa, w których władza należy do klas posiadających, do klasy właścicieli niewolników.

Wraz z tymi zmianami społecznymi zmienia się i charakter wierzeń religijnych. Mimo poznania i wykorzystania niektórych praw przyrody zależność człowieka od żywiołowych sił przyrody istnieje nadal. Od obfitości wody i paszy zależy powodzenie pasterstwa. Od pogody, pomyślnego wiatru zależy powodzenie morskiej wyprawy żeglarskiej i kupców. W tym okresie zanika reszki totemizmu, a kult przodków przekształca się w kult agrarne, polegające na czczeniu bóstw — wyobrażeń sił przyrody. Toteż „bogami” społeczeństw rolniczych są właśnie te siły przyrody, od których byt tych społeczeństw był zależny: słońce, ziemia, woda, deszcz, piorun itd.

Z tą zależnością człowieka od sił przyrody, ściśle wiąże się nowa zależność, wytworzona przez samych ludzi.

Podział klasowy wytwarza w społeczeństwie ludzkim pojęcie pana — władcy innych ludzi. To znajduje również odbicie w świadomości ludzkiej. Stąd też niektóre duchy — wyobrażenia sił przyrody stają się „panami” burzy, deszczu, nieba, podziemnych pieczar, morza itd. Ludzie tym wyobrażeniom panów — sił przyrody nadają nazwę boga. Bóg — pan morza początkowo niewiele różni się od boga — pana piorunów, czy też boga — pana ciemnych, strasznych jaskiń podziemnych. Tak jak i panowie ziemscy niewiele różnią się między sobą. Religie tego okresu u wszystkich ludów są mniej więcej podobne. W różny sposób przedstawiają one zależność jednostki od sił społecznych z okresu pierwotnego, patriarchalnego niewolnictwa. Religie te nazywa politycznymi, to znaczy wielobożnymi. Znanym przykładem takiej politycznej religii są wierzenia religijne starożytnych Greków. W religiach politycznych występuje jasrawo prawda o tym, że człowiek stwarza boga na obraz i podobieństwo swoje. Np. bogowie greccy jedzą, piją, kochają się, kłócą, a nawet walczą ze sobą zupełnie tak jak ludzie.

Społeczeństwo klasowe jest już

lepiej uzbrojone w narzędzia i środki wytwórcze niż pierwotne gromady ludzkie. Opanowanie sił przyrody i wykorzystanie ich dla zaspokojenia potrzeb ludzi postępuje naprzód.

Powstają natomiast nowe siły, które są wynikiem nowych stosunków między ludźmi. Zależność człowieka od człowieka wytwarza w miarę rozwoju coraz bardziej skomplikowane stosunki społeczne.

Pojawieniu się społeczeństw klasowych towarzyszy proces ubóstwiania władców. Władcy ziemscy

PO LI TE IZM

wykonują swą władzę niejako w imieniu boga. Z tego też względu zajmują centralne miejsce w kultcie, pośredniczą między państwem a bogiem, w imieniu ludu składają ofiary, a po śmierci otoczeni zostają kultem religijnym jako bogowie. U niektórych ludów starożytnych królowie byli nie tylko przedstawicielami boga na ziemi, ale po prostu wcieleniem boga. Władca ziemski — bóg-człowiek — za życia był więc przedmiotem kultu religijnego.

Wierzenia te uświęcały pozycję władców i warstwy panującej — sankcjonowały istniejący porządek społeczny jako wyraz woli boga.

Przed wszystkim jednak oddziałuje tu skomplikowany charakter stosunków społecznych, utrudniający nie tylko jednostce, lecz nawet całemu społeczeństwu zrozumienie istotnych, rzeczywistych przyczyn zjawisk społecznych. Dlaczego wybuchają wojny? Dlaczego jedni są bogaci, a inni są ich niewolnikami? To ludzie biorą ludzi do niewoli i zmuszają do pracy, to ludzie wywołują wojny, to ludzie stwarzają nędzę innych ludzi. Ale mechanika powstawania tych zjawisk jest zbyt skomplikowana, przyczyny zbyt wielostronne. Zresztą sami władcy i kapłani również nie rozumieją tej wielostronności zjawisk. Często nie są w stanie zrozumieć własnych błędów w rządzeniu i wyjaśnić sobie istotnych przyczyn klęski tego czy innego władcy, upadku potęgi gospodarczej tego lub innego państwa.

Słowniki społeczne — stwarzane przez samych ludzi — wydają się siłą niezależną od woli ludzi. Rzeczywiście jednostka, nawet potężna, jest wobec ich żywiołowego działa-

nia bezradna. Gubi się w płątaniu rzeczywistych i pozornych przyczyn. Ta niezrozumiała siła wydaje się rządzić światem. Rządzi żywiołowo, a więc niezrozumiale, kapryśnie, jak pan — władca absolutny. Starym postaciom bogów — słońca i piorunów, Zeusowi i Perunowi — przypisywano skutki działania sił społecznych. To oni urządzili świat, to oni według swojej woli zmieniają go.

Religia jest cieniem społeczeństwa ludzkiego. Jak cień idzie za człowiekiem w tym kierunku, dokąd on się udaje, tak i religia zmienia się wraz z rozwojem społeczeństwa ludzkiego. Jak cień, który jest tylko niewyraźnym odbiciem, konturem postaci człowieka, tak i religia jest jedynie zniekształconym obrazem społecznego bytu ludzi i otaczającej ich przyrody.

Różne społeczeństwa ludzkie w różnych częściach świata rozwijały się w różnych warunkach. Stąd też i różne było odbicie tych stosunków w świadomości ludzkiej. Dlatego powstało tak wiele różnych religii. Każdy bowiem lud dawał na swój sposób wyraz swojej bezradności wobec zjawisk przyrody i sił powstających na skutek rozwoju życia społecznego.

Jednym z czynników wpływających na tworzenie się różnych form religijnych było również mieszanie się ze sobą różnych ludów bądź to przez podboje, bądź drogą zawierania związków.

Wtedy i bogi tych ludów łączyły się ze sobą lub też były obalane przez zdobywców, chociaż czasami zdobywcy przyjmowali bogów podbitych narodów. Tak np. w III w. n. e. kult perskiego boga słońca Mithry stał się w Rzymie kultem państwowym, a święto ku jego czci obchodzone 25 grudnia.

Takie lub inne formy poszczególnych religii zależały zawsze i tworzyły się zawsze w zależności od takiej lub innej linii rozwoju ekonomicznego, społecznego i politycznego różnych ludów.

Opracował: ST. RYBARSKI

„Jo se chłopok od Rzeszowa” nad Niemnem i Wilią

(Ciąg dalszy ze str. 1)

M. In. Franciszek Kowalewski — pracownik naukowy, Zofia Subocz i Irena Woronkówna — nauczycielki, Stanisław Krzywicki — inżynier geolog. O zespole jeszcze wówczas nie myśleli. Było to po prostu kółko artystyczne, przygotowujące program w języku polskim na różnego rodzaju akademie i uroczystości, przy czym najczęściej korzystano z dzieł Mickiewicza i Słowackiego.

W roku 1956 KC KP Litwy podjął uchwałę o przekazaniu kółka w opiekę związków zawodowych. Przyznano pewne fundusze na zorganizowanie zespołu z prawdziwego zdarzenia.

Stroje szyją sami. Mieli i mają w dalszym ciągu trudności z opracowywaniem programów. Brak nut i tekstów. W czasie gościnnych występów na Litwie „Ślaska” i „Mazowsza”, korzystali z pomocy polskich artystów. Uczyli się tańców, dostali trochę materiałów. Później zakupiono instrumenty i zorganizowano pierwszy występ, niezwykle ciepło i serdecznie przyjęty przez litewską i polską publiczność.

Zespół liczący 150 osób dysponuje własną, kwalifikowaną kadrą. Wiktor Turowski kieruje chórem, Zofia Gulewicz baletem, Edward Filipajtis — kapelą. Repertuar ustala rada zespołu pod przewodnictwem Franciszka Kowalewskiego.

Zespół wyjeżdżał z programem do Lwowa, Kowna, Rygi, Mińska, Mołodetchna, Lidy oraz występował w telewizji, wykonując pieśni i tańce nie tylko polskie, ale rów-

nież litewskie, rosyjskie, białoruskie i łotewskie.

Zapalają się jupitery. Czas zacząć próbę. Pani Gulewicz podaje mi rękę na pożegnanie. — Podobno pan jest z Rzeszowa?

Kiwam głową, że tak. — Mamy więc dla pana niespodziankę. Proszę jeszcze chwilę poczekać.

Poszła na scenę i długo szeptała z kierownikiem kapeli i kierownikiem chóru. Na pulpitych pojawiają się nuty.

— Raz... dwa... trzy... cztery... Nagle słyszę:

Loboga chłopoki czyście mnie nie poznali

Żeście mi stajera nie zagrall

Jo se chłopok od Rzeszowa...

Szczypię się w oba policzki. Nie, nie śnię. Ależ tak! Zespół śpiewa popularną rzeszowską ludową piosenkę.

Pan Wiktor Turowski śmieje się. — Zaskoczyliśmy pana, prawda? Znamy kilka rzeszowskich melodii. Nie tak dawno, 25 grudnia, nasz zespół wykonywał suitę rzeszowską z baletem i przyspiewkami. Stroje sami skomponowaliśmy, opierając się na starych rysunkach. Nuty i teksty dały nam „Mazowsze” i „Ślask”. Chętnie byśmy ją dziś wykonali, ale bez strojów nie osiągnęliśmy pożądanego efektu.

Dla mnie to nie było ważne. Niechby było i bez strojów. Nie śmiałem jednak prosić. Zespół czekała solidna harówka. Za dwa tygodnie, w Wilnie, miał się odbyć przegląd amatorskich zespołów artystycznych. Członkowie „Wili” powiedzieli, że muszą zdobyć pierwsze miejsce.

EDWARD WISZ

Suita rzeszowska w wykonaniu Polskiego Ludowego Zespołu Pieśni i Tańca „Willa” w Pałacu Związków Zawodowych w Wilnie w dniu 25 grudnia 1963 r.



etlem słodko i pakunkii, puszczając go na pastwisko. W gestych zarostach leśniczynowych znalazłem wygodną legowisko, zrobiłem postanie i zapadłem w sen. Spałem do późnego popołudnia. Gdzieś o piątej wyszedłem na polanę, aby zorientować się w terenie. Kulalem mocno, lecz gorączka wyraźnie osłabła. Wyraźnie było widać głęboką dolinę, w której rozłożyła się wieś. Obserwowałem przez lornetę budynki i drogę. W pewnym momencie zobaczyłem zbliżającego się człowieka. Mógł być ode mnie jakieś sześćset, siedemset metrów. Uzbrojony podchodził ścieżką w kierunku polany. Wróciłem do konia, osiodlałem go i przywitałem do drzewa, po czym zająłem poprzednie stanowisko. Leżąc na ziemi, przez lornetę snajperskiego karabinu obserwowałem go. Był już blisko. Jakoś dziwnie ubrany: krótkie spodnie, jasna koszula, kapelusz, na ramieniu karabin, a w ręce coś przypominającego siatkę na motyle.

— Ki diabeł? Co on tutaj robi i po co idzie? — Podszedł bliżej i wówczas zauważyłem, że ma pas wojskowy, ładowanie i przytroczone do pasa manierkę. Na ramionach plecak, kapelusz przypominał hełm tropikalny, a na nosie okulary. Chwyciłem go na krzyż lunety i prowadziłem z palcem na spuście. Człowiek ten wyglądał na naukowca, a nie żołnierza czy partyzanta. Mało tego, szedł prosto na mnie. Tuż przed drzewem zatrzymał się, usiadł na trawie, karabin położył na kolanach, odwracając się do mnie plecami. Coś podobnego nigdy mnie nie spotkało. Wstałem bezszelestnie i zbliżyłem się do niego. Nie słyszał kroków. Trzymając palec na spuście snajperki, trąciłem go łufą w plecy.

Przerażony, odwrócił się, wypuszczając karabin i podniósł ręce do góry.

— Nie strzelaj! Jestem Słowakiem!

— Co tu robisz? — zapytałem.

— Jestem profesorem i entomologiem. Chciałem zapolować na jelenia...

— Skąd masz karabin wojskowy — pytałem dalej.

— Jestem zmobilizowany do wojska słowackiego. Moja jednostka stoi w Wetlinie, a ja w wolnych chwilach zbieram owady i poluję.

Nie miał kiedyś urzędzić sobie polowania? — pomyślałem. Ale chyba mówi prawdę. Świadczy o tym wygląd, jak i trzęsące się ręce.

— Opuść ręce i usiadł! — rozkazałem.

Wziąłem jego karabin, wyrzuciłem naboje z komory i zamek.

— Masz inną broń?

— Nie, nie mam — odpowiedział już spokojniejszym głosem.

— Pokaż kieszenie!

Profesor postąpiłnie wywrócił kieszenie, w których znajdowała się paczka papierosów, zapalniczka, scyzoryk i chusteczka do nosa.

— Usiadłem obok niego, odkładając snajperkę. Partyzancka faję zacząłem nabić tytoniem. Profesor podsunął paczkę z papierosami. Z przyjemnością zapaliłem prawdziwego papierosa, zaciągając się głęboko dymem. Przyglądał mi się sobie nawszedł z dużą uwagą. Tak, to typ naukowca — na pewno. Ma krótki wzrost, jasne, uczciwe oczy i zgarbione plecy.

— Cóż profesorze byłbym cię dziś ja upolował... 200 prawie metrów trzymałem na twoich piersiach krzyż lunety i mały figiel, a pociąg prze-

ciopancerny sapalający utkwiliby w twoim ciele.

— Widzisz — odpowiedział — o mnie nie chodzi, ale nauka pociągłaby stracić. Opracowuję właśnie dzieło o owadach żyjących w Karpatach.

— Branchiura, branchista, echinodermata? — spytałem.

— Jesteś entomologiem! — wykrzyknął radośnie.

— Nie, próbowałem być biologiem, wojna przeszkodziła. Studiuję z konieczności naukę o śmierci.

Twarz profesora promieniowała radością.

— Jesteś jeszcze młody. Przeżyjess i skończysz studia. Ale co to? — wskazał moją nogę.

— Rana, odłamek.

Ile dni temu?

— Sześć — odpowiedziałem.

Profesor pochylił się nad kolanem, delikatnie badając opatrunek.

— Nie powinneś w ogóle chodzić. Odłamek siedzi w kości!

— Nie powinienem, ale muszę!

— Masz gorączkę?

— W tej chwili mniejszą, ale mam.

— Trzeba wziąć zastrzyk przeciwbólowy, zmienić opatrunek i to natychmiast!

— Gdzie?

— W Wetlinie, tam mamy lekarza.

— Przecież on tutaj nie przyjdzie? — Nie, ty tam pójdziesz, razem ze mną.

— Niemżliwe, profesorze, strzelić mi w łeb lub plecy — może nawet w czasie opatrunku.

— Młody człowieku, jesteście Słowakami. Nie wiem, kim jesteś, możeś nam wierzyc lub nie. Nie jestem już młody, miałem studentów w twoim wieku i nie na jednym uniwersytecie wykładałem. Chcę ci

pomóc i musisz mnie posłuchać. Zatrzymasz się na początku wsi, a tam sprowadzę ci lekarza. Będę szedł pierwszy, lekarz za mną. Przygotuj swoje rekwiizyty śmierci i strzelisz najpierw do mnie, jeżeli cię zawiodę. Dobrze?

Chwila namysłu i decyzja.

— Dobrze, profesorze, tylko zabiorę konia.

Profesor ujął za uźdź mego konia, a ja na ramię zarzuciłem jego karabin. Ponieważ kulalem, trzeba było dobieść konia.

Schodzącym stromą ścieżką w wietlińską dolinę. Słońce zaszło i niebo pokryło się chmurami. Nadchodziła burza. Zanim osiągnęliśmy dom na skraju wsi, upadły pierwsze krople. Profesor ukrył mnie z koniem za płotem, a sam wszedł do zagrody. Dom, przy którym zatrzymaliśmy się, stał na małym wznieśleniu, tyłem do drogi. Ogródzony niskim płotem, z niewielkim sadem owocowym na spidziwym terenie. Gdy sylwetka profesora skryła się za węgłem, wyrwałem z siodła pistolet maszynowy i chwyciłem zapasowy magazyn. Snajperkę i karabin profesora zawiesiłem na siodle. Mimo rany przeszedłem płot i skryłem się za drugim węgłem. „Sirko” stał spokojnie z cugami zacementowanymi o sztachety. Mimo wszystko nie ufałem ludziom. Minęło już kilkanaście sekund od chwili, kiedy profesor wszedł do domu, i nie się nie działo. Myśli kłębiły mi się pod czaszką. „Jeżeli wyjdą do konia, wystrzelam ich, jeżeli wyjdą wprost na mnie, a będzie więcej niż dwóch — zabiję również!”

Wyszedłem na róg domu. Ognik płonącego papierosa zobaczyłem z odległości dwóch metrów, obok nie-

go drugi. Profesor z towarzyszem skrył się za drugim rogiem. Wyszedłem z wycelowanym automatem.

— Wstać! Ręce opuścić! — pod ścianą!

Siedzący postuliście wykonali rozkaz. Zauważyłem, że jeden jest w mundurze.

Za domu usłyszałem cichy głos profesora:

— Partizan! Partizan!

— Jestem profesorze! Prowadźcie pierwszy!

Profesor wszedł do sieni, a za nim reszta. Ostatni prowadził grupę z palcem na cynglu. Lunę ulęwny deszcz. „Sirko” moknął pod płotem. Znaleźliśmy się w izbie. Usadziłem dwóch żołnierzy wraz z gospodarzem pod ścianą. Profesor zastąpił okna i zapalił lampę. W izbie znalazły się jeszcze dwie kobiety.

— Dobry wieczór — powiedziałem, schylając łufę automatu, ale nie wypuszczając go z rąk.

— Dobry wieczór — odpowiedzieli niepewnie.

— Profesorze, proszę wprowadzić konia do stajni — ma pan dwie minuty czasu!

Profesor szybko wyszedł i również szybko wrócił.

— W porządku?

— Tak — odrzekł spokojnie i zajął miejsce obok siedzących. Usiadłem naprzeciw za stołem, kładąc automat, a obok niego granat.

— Proszę wybaczyć środki ostrożności — zacząłem rozmowę.

— Zrozumiałe — odrzekł oficer, sąsiad profesora.

2) Jak się później okazało, miał w tej wsi sześciuset żołnierzy słowackich.

(Ciąg dalszy na str. 4)

List do redakcji

Jak uratowano angielskich pilotów

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

W nr 7 „Widnokręgu” z dnia 16 II 1964 r. w opowiadaniu „Czarny lwan” Jerzego Łyżwańskiego przeczytałem opis przygotowań do przewiezienia do ZSRR salgi angielskiego samolotu rozbitego w roku 1944 w okolicy Rudnika. W związku z tym przesyłam opis ratowania angielskich lotników przez miejscowy oddział BCH bezpośrednio po wypadku.

23 kwietnia 1944 r. między godziną 23 a 24 w nocy na pastwisku przy drodze Poręby, oddalonego o 1,5 km od wsi Tarnogóra w pow. niżańskim, spadł i rozbił się czteromotorowy samolot angielski. Upadek samolotu spostrzegł wiejszy wartowny nocni z Tarnogóry, który zbudził mieszkańca tej wsi Walentego Kide, pseudonim „Kłosa”, pełniącego funkcję zastępcy powiatowego komendanta BCH i szefa łączności „Rocha” na powiat niżański. Ten, chcąc się upewnić czy kwatrujący w budynku szkolnym Niemcy (strzelili przebieg na rzecę San), wiedząc już o rozbiciu się samolotu, wysłał zwiad, który doniósł, że Niemcy urządzili sobie libację i są mocno podpiłci, natomiast część ich wyszła w kierunku wsi i o wypadku samolotu jeszcze nie wiedzą. W tym samym czasie Bronisław Sowa powiadomił „Kłosa”, że u jego ojca jest Anglik z salgi rozbitego samolotu. Przybył tam „Kłosa” sasiad Anglika rozmawiającego w języku niemieckim z ojcem Bronka. Przejrzawszy dokumenty osobiste Anglika zabrał go do Grzegorza Gumienika, którego z kilku ludźmi z miejscowego plutonu BCH wysłał na odszukanie miejsca upadku samolotu. Stanisławowi Sudołowi, pseudonim „Sosna”, który pochodził z Cholewian Góry i jako „spalony” na tamtejszym terenie przebywał czasowo w Tarnogórze, polecił odprowadzić Anglika do bunkra znajdującego się w lesie za wsią. Bunkier ten za wiedzą i przy współudziale gajowego Sitarza wybudowali BCH-owcy z Tarnogóry i Kopek. Przechowywano w nim broń i amunicję. Służył też jako punkt etapowy przy przetrzymywaniu za San zbitych jeńców radzieckich.

„Sosna” po ułokowaniu Anglika w bunkrze powrócił na skraj lasu we wskazane uprzednio przez „Kłosa”

miejsce i obaj udali się już o brzasku do widniejącego w odległości około 2 km samolotu. Przy rozbitym samolocie spotkali grupę ludzi, którzy zabierali z jego szczątków co do zabrania być mogło. Od strony wsi szli też do rozbitego samolotu Niemcy, a widząc tam ludzi poczęli strzelać. „Kłosa” rozkazał zabrać leżących obok oderwany od samolotu okm i amunicję oraz uchodzić w kierunku przeciwnym do lasu oddalonego o około 200 metrów.

W tym samym czasie, tj. 24 IV w godzinach rannych spotkano w Kopekach drugiego Anglika, który również został odprowadzony do bunkra.

Ponieważ na teren Tarnogóry przybyła więcej Niemców poszukujących salgi rozbitego samolotu, postanowiono Anglików z bunkra przetrzymać za San. „Wilka” otrzymał polecenie przygotowania przeprawy. O zmroku przeprowadzono Anglików do Sanu w umówione miejsce, jednak łódka, którą miało przysłać z Kamionki nie przybyła i eskorta z Anglikami powróciła do bunkra. Tego samego wieczoru „Kłosa” został powiadomiony przez Jakuba Kaka, że u Sebastiana Łyki pod lasem znajduje się dwóch innych Anglików z rozbitego samolotu. Jak się okazało ukryli się oni w lesie, a pod wieczór przyszedł do Łyki, skąd „Kłosa” i syn Kaka, Michał, mimo gęstych patroli ulemieckich przetrzymujących wiedź i skraj lasu przeprowadzili Anglików w rejon lasu, gdzie znajdował się bunkier. W elemencie nie mogli go odnaleźć i całą noc przesiedzieli w lesie.

Przez cały dzień 25 IV oddziały BCH poszukiwały pozostałych trzech Anglików. Jednego z nich spotkał w Kosiarni folksdojcz Leon Hamer i zaprowadził do dworu Tarnowskiego w Kopekach, gdzie oddał go Niemcom. Nie odnalazszy dwóch ostatnich lotników, postanowiono tych z bunkra przetrzymać w nocy z 26 na 27 IV za San. 28 IV około godziny 14 „Wilka” powiadomił, że przygotował przeprawę i że o zmierzchu należy Anglików przeprowadzić nad San we wskazane miejsce. Wieczorem tego samego dnia przybył do „Kłosa” łącznik z powiatu łańcuckiego z poleceniem przekazania czterech Anglików na wskazane miejsce do powiatu łańcuckiego, oznajmiając, że jeden lotnik z rozbitego samolotu jest we wsi Jelnia.

Wobec przygotowanej już przeprawy „Kłosa” odmówił ich przekazania.

W nocy z 26 na 27 kwietnia 1944 r. między godziną 22 a 23 w miejscu Chałupki naprzeciw Kamionki przewieziono łódką przez San czterech Anglików, stanowiących część salgi rozbitego między Tarnogórą a Sarzyną samolotu. Mimo usilnych starań „Kłosa”, jakie czynił za pośrednictwem podwładnych mu placówek BCH i ludzi z łączności „Rocha” nie udało się odnaleźć ani ustalić losu, jaki spotkał siódmego lotnika z salgi rozbitego samolotu. Lotniczy okm po dorobieniu podstawy przez brata „Kłosa” Andrzeja, który był w BCH rusznikarzem, powiększył stan uzbrojenia miejscowego oddziału BCH.

TOMASZ SAGAN
Jelnowe

DANUTA MILLER

— nauczycielka Państwowej Szkoły Muzycznej w Przemyslu.

Rys. J. Sienkiewicz

Robertino śpiewa
jeszcze lepiej

„Sowietskaja Kultura” informuje w korespondencji z Oslo, że słynne „cudowne dziecko”, a dziś już 17-letni młodzieniec, Robertino Loretti, śpiewa obecnie jeszcze lepiej niż przed kilkoma laty. Jak wiadomo, dwa lata temu Robertino stracił głos, sforsowany wkrótce po młodości. Specjalna kuracja w Kopenhadze pomogła mu.

Loretti koncertuje obecnie w Danii. Pragnie odwiedzić również Związek Radziecki, gdzie ma wielu miłośników i „korespondentów” przyjaciół.

SPOTKANIE W BIESZCZADACH

(Ciąg dalszy ze str. 3)

My też jesteśmy żołnierzami i wiemy, że nie może pan mieć do nas zaufania. Czym możemy panu pomóc?

— Potrzebuję tytoniu, papierosów, nie mam baterii do latarki i map.

— Poza tym opatrunki i kilka bandażi — dodał profesor.

Oficer, człowiek stosunkowo młody, inteligentny, o przyjemnej twa-

rzy i pociągającej sylwetce, odpowiedział:

— Żywność damy, baterię i papierosy tak. Map, niestety nie. Mam jedną mapę, ale ta będzie mi potrzebna. Dopiero teraz zauważyłem, że obaj oficerowie mają broń boczna.

Idiotyczne wprost ryzyko, ale naprawdę nie wypada mi żądać zdejścia pasów. Będzie to cena zaufania — jednak nie poproszę.

Oficerowie zachowywali się nad-

zwyczajnie. Postanowiłem pójść na całego. Poprosiłem o brzytwę, nożyczki i lusterko. Śledząc naprzeciw oficerów, gospodarza i profesora, podstrzygłem brodę, włosy i włosy. Potem podgoliłem policzki i podbródek. Tymczasem gospodyni postawiła na stole garnek gorącego mleka i bochen chleba. Odsunąłem pistolet maszynowy i granat z zasięgu ręki. Po czym zapytałem:

— Panie profesorze, czy lekarz jest na miejscu?

— Tak, to ten pan — rzekł, wskazując na drugiego oficera.

— Czy instrumenty i opatrunki macie tutaj?

— Niestety, nie.

— Kto po nie ma pójść? — zapytałem.

— Jeżeli pan pozwoli, to ja pójdę — zaoferował się profesor.

Popatrzyłem na pierwszego oficera. Śledził opanowany i spokojny.

— Czy profesorowi wydadzą wszystkie rzeczy, o które prosiłem, łącznie z opatrunkami i instrumentami?

— Chyba tak — odrzekł — muszę jednak napisać kartkę.

Znowu piekielna ryzyko.

— Może jednak dałoby się załatwić bez kartki?

— Spróbuję — odrzekł profesor.

— Zgoda, pod warunkiem określenia czasu powrotu.

— Czterdzieści minut wystarczy? Myślę, że uda się wcześniej, ale przyjmujemy czterdzieści minut!

Lat ulewny deszcz. Profesor wybiegł z izby, jak stał. Wypilem mleko i dopiero teraz zdałem sobie sprawę z paradoksalnej sytuacji.

Ludzie ci naprawdę chcą mi pomóc, a ja zachowuję się jak gangster z kłopskiego filmu. Gdyby mnie chcieli obezwładnić, już mogli to zrobić szereg razy. Nie robią tego z wielu względów. Po pierwsze, — chcą mi pomóc i są porządnymi ludźmi.

Po wtóre — przegrupują wojnę i front jest blisko. Niemcy wcielili ich do swej służby, którą pełnią bez przekonania, a kto wie, może ze wstrętem. Po trzecie — widzą we mnie takiego samego żołnierza, jak i oni. I stąd płynnie chcą pomocy. Trzeba przechrzcić szale zaufania.

Zdarzenia
tygodnia

Ogłoszono już wyniki konkursu fotograficznego pod nazwą: „Poznaj piękno województwa rzeszowskiego”, zorganizowanego przez rzeszowski Oddział PTK. Na konkurs wpłynęło 381 prac 19 autorów.

Pierwszą nagrodę otrzymał stały współpracownik „Widnokręgu” Z. Półsteński z Rzeszowa, drugą — J. Świdorski z Gorlic. Sąd konkursowy przyznał trzy trzecie równorzędne nagrody: J. Radkowski z Rybnika, J. Iwoniński z Wrocławia, J. Kowalczyk z Dzierżowa w woj. wrocławskim i Witoldowi Wierzbickiemu z Iwonicza-Zdroju. Wyróżnienia otrzymał Olgierd Czeczot z Sanoka, Jerzy Olma z Rzeszowa, Józef Talor z Wrocławia i Stanisław Skalski z Rzeszowa.

W czwartek, tj. 3 marca, w sali kinu Bura Wystaw Artystycznych otwarto w Rzeszowie wystawę malarstwa i rzeźby Katarzyny Matwiej, Leny Orty i Marii Stelmassika — nauczycieli z Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławie. Jest to pierwsza wystawa indywidualna nauczycieli jarosławskiego Liceum.

3 marca br. na scenie Teatru im. Wandy Siemaszkowej, wystawiono premierę sztuki M. Sienkiewicza pt. „Furio detektyw” w wykonaniu Teatru Miniatury Aktorów „Kacperka”. Scenografię opracował J. Radwanek, reżyseria — S. Stojakowski, muzyka K. Skwarczyński.

W dniach 1 i 2 marca w sali Domu Kultury Górnicka-Natoliwa w Krośnie odbył się kolejny rejonowy przegląd amatorskich zespołów teatralnych (eliminacje wojewódzkie).

Do eliminacji przystąpiły zespoły: PZGS z Brzozowa z „Krzysztofem” K. Salaburki, zespół DK z Krosna reprezentujący widowisko regionalne pt. „Swaty” w opracowaniu W. Leckiego, zespół teatralny PRN w Krośnie wystawiający „Dramat Joli” — J. M. Leżyckiego, a zespół ZO w Turaszowie wystąpił ze sztuką „Wuj z Ameryki” — J. Jesionowskiego.

W bieżącym roku na inwestycje w woj. rzeszowskim SFOS przełoży blisko 36 mln złotych. Z tej kwoty finansowana będzie m. in. dalsza budowa Średniej Szkoły Muzycznej oraz Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie. Część funduszy przeznaczona została na podjęcie budowy trzech szkół — pomników Tysiąclecia oraz dotację na ostateczne zakończenie budowy Stacji Telewizyjnej na Suchej Górze.

Wydział Budownictwa Prezydium WRN Zarząd Oddziału SARP zorganizował ostatnio w siedzibie rzeszowskiego „Młostoproduktu” wystawę prac projektowych. Szkoła tylko, że nie zawiera ona zbyt wiele nowych opracowań, gdyż większość projektów była już kilkakrotnie badana do ekspozycji, bądź już dawno zrealizowana w naszym województwie.

Władze mieleckiej WSK przekazały ostatnio miejscowemu Zarządowi PTK lokal po nieistniejącym już Klubie Zainteresowań. W ten sposób zamknięto działalność aktywnej niegdyś placówki kulturalnej w Mlecu.

Zaloga Wytwórni, a zwłaszcza szefownia PTK postanowiła zorganizować Klub Turysty, mieszczący m. in. kawalerię, czytelnia czasopism, salę telewizyjną. W ogrodzie natomiast urządził się kawiarnia letnia, amfiteatr i klub letni. Zaloga WSK podejmuje już liczne zobowiązania, zmierzające do zagospodarowania przekazanego obiektu.

Muzeum w Łańcucie organizuje w Klubie „Arkona” cykl projekcji filmowych. Obejmują one zagadnienia z zakresu architektury, malarstwa i inne. Podczas projekcji pracownicy naukowemu muzeum wygłaszają krótkie prelekcje, będące uzupełnieniem wyświetlanych filmów.

W przemyskim muzeum czynna jest wystawa pod nazwą: „Polski portret królewski”. Ekspozycja na wystawie dostarczyła Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu.

WIDNOKRAG
odpowiada

P.E.S. — PRZEMYSŁ: Z wiersza poświęconego pamięci Xawerego Dunikowskiego nie skorzystaliśmy, ponieważ wiersz jest artystycznie b. słaby. Ponadto pisze Pan o palecie, płótnie i pędzłach, a przecież chyba Panu wiadomo, że Dunikowski był przede wszystkim rzeźbiarzem.

„OLEAUDER” — Wiersz „Lampiony” przegadany — brak mu skondensowania myślowego i oszczędności słowa.

P. ELŻBIETA M., POW. JASŁO: Wiersze, które otrzymałyśmy są dość kulturalne, ale mało oryginalne. Ulega Pan konwencji poetyckim młodopolskim zarówno w środkach wyrazu artystycznego, słownictwie i nastroju, jak i w poetyckiej koncepcji rzeczywistości. Używa Pan zwrotów wytarzonych, zbanalizowanych, pozbawionych świeżości i siły wyrazu.